

Dziesięć mil do Beshynor

Był zupełnie przeciętny. No może nieco niższy od wszystkich wypełniających starą obojętność na rozdrożu, ale że siedział w kącie, jak ten puchacz na wieży, to i tej różnicy widać nie było. Prócz tego jako jedyny nie brał udziału we wspólnej zabawie. Wręcz przeciwnie - siedział ponury, na nic i na nikogo nie zwracając uwagi. Wszelkie zaczepki zbywał krótkim, ponurym spojrzeniem szarych oczu. Widać było, że jest obcy.

Widać było, że na kogoś czeka.

A wszak zabawa była przednia- przed chwilą stary bajdur skończył wesołą opowieść o dobrym zbójniku, co to bogatym brał a biednym rozdawał, teraz zaś rozpoczęły się tańce do wtóru kapeli, którą gospodarz ściągnął aż z o dziesięć mil oddalonego Al Rassa.

Wtem do izby wtoczyło się dwóch mężczyzn. W karczmie ucichło na moment, wszyscy patrzyli z niepokojem na przybyszów, czy rozróżą jakąś rozpoczną, czy też tylko przyszli napić się przed rozróżą w sąsiedniej wiosce. Byli to bowiem bracia Stark od starego drwala Starka. Jak ojciec ich był uosobieniem niewinności i uczciwości tak oni stanowili pokazowy wręcz przykład domorosłych terrorystów. Nikt w tej i sąsiednich wioskach nie śmiał im się postawić a oni sami przechwalali się, że działają z ramienia bandy rodzeństwa Rayków. W to oczywiście już nikt nie wierzył, ale też nikt swej niewiary głośno się wyrazić nie ośmielał. Jednakże tym razem bracia byli w wyjątkowo dobrym humorze. Rozwalili się na ławie, obok Obcego.

Ten całkowicie ich zignorował. Nagle jeden braci, ten starszy, wyciągnął z za pazuchy sztylet.

- Ktoś postawi nam zaraz kolejkę - wrzasnął i wskazał na Obcego.

- Ty! I radzę ci się pospieszyć, jeśli chcesz stąd wyjść cały... -chwycił swą ofiarę za bluzę na piersi i uniósł w górę na dobre kilka palców. Zazwyczaj po takim wstępie zaczepieni przez braciszków ludzie spełniali wszystkie ich prośby.

Tymczasem zaatakowany bez słowa przekreślił pierścień na palcu czarnym symbolem do frontu i przyłożył mężczyźnie do czoła

- Na twoim miejscu zastanowiłbym się dwa razy, zanim rozpocząłbym nową znajomość - syknął, a napastnik jęknął i bez życia upadł na podłogę pod stołem. Drugi zerwał się i odskoczył pod ścianę.

-Zabiłeś mi brata, skubańcu!- krzyczał, miotając się w ramionach trzymających go ludzi.

Przez zebranych przeszedł dreszcz, ktoś wybuchnął histerycznym śmiechem. Ani chybi Obcy był kłątwinem, a może nawet magiem jakowymś! Do przodu wystąpił nieśmiało oberżysta i dwaj żołnierze z pobliskiej strażnicy, przepijający właśnie swój chudy żołd w karczmie.

-Jesteś aresztowany! -wrzasnął jeden z nich.

-Proszę bardzo, nie mam nic przeciwko.

-Skrzyżuj ręce na plecach! I zostaw broń!

-Nie musicie mnie wiązać, nie mam zamiaru uciekać.

-Ta, ta. Znamy my takie ptaszki! Ledwie przybył a już mamy trupa. Nie chce uciekać... To miło, jutro stanie dla ciebie szubienica!

Z tymi słowy żołnierze i więzień opuścili oberżę Pod Bydlakiem.

Duchy Yollyn, tylko wiedzieć mogą, co to był za człowiek. Przybył z południa. Jego koń zmęczony był i zszarzał, on sam ledwo trzymał się w siodle. Ale to nie podróż sama go tak wyczerpała - widać było, że coś pustoszy jego wnętrze, łamie ducha. Oczy jego, dziwne takie, fioletowawe oczy, były matowe, nie grała w nich żadna iskra. Do naszej oberży przybył pod wieczór. Pytał o człowieka jakiegoś, co to miał tu przybyć na wczoraj i czekać na niego. Zmiarkowaliśmy zaraz, że to o tego ptaszka chodzi, co go aresztowali. Westchnął tylko, gdy się o tym dowiedział i piwa zażądał. Potem odjechał, mimo że Ker już wschodził, a drogi u nas grozy pełne odkąd rodzeństwo Rayków zbójuje. Chwile po tym do oberży wpadł chłopak

od kowala, z wieścią iż ów aresztant obu strażników zabił i uciekł, konia i broń porywając ze sobą.

Tagryt jechał powoli ciemnym gościńcem. Nie spieszył się. Wiedział, że i tak wszystko przepadło. Nikt prócz Aggata nie mógł go uzdrowić. A raczej - nikt nie mógł go uzdrowić za tak niską cenę. Szczęśliwie się zbiegło, że Aggat, przyjaciel Tagryta jeszcze z dzieciństwa, przebywał tu akurat w jakiś swych sprawach. Mieli się spotkać.

Aggat był kłatwinem, bardzo dobrym kłatwinem, który nie tylko rzucał uroki, ale potrafił je także odczyniać. Ale skoro Aggata aresztowano... Właściwie nie miał się o co martwić, kłatwin na pewno już zdążył uciec. Z tym, że teraz już się nie spotkają. A na innego uzdrowiciela nie miał forsę. Był zupełnie splukany, a wierzyciele deptali mu po piętach. Po raz nie wiadomo już który wyjął z kieszeni srebrny pierścień. To właśnie był jego problem... jego przekleństwo... Jego znajda.

Małe stworzątko, czające się na drogach, w szufladach, na strychach i wszędzie tam gdzie ludzie gubili i znajdowali różne rzeczy. Także Tagryt natknął się na nie, całkiem niedawno, wracając nad ranem z szynku i myśląc tylko o tym, z czego zapłacić wszystkie długi. Ten pierścionelek byłby dla niego wybawieniem, gdyby nie to, że był właśnie znajdą i zwyczajem znajd od razu zaczął w tempie ekspresowym wysysać z niego energie. A najgorsze było to, że znajdy nie dało się od tak po prostu wyrzucić. Połączenie energetyczne pomiędzy nią a jej ofiarą mógł przerwać tylko doświadczony magiczny.

I w dodatku mafia. Tak, oprócz znajdy był jeszcze Oppacz Aczaszned, ojciec chrzestny talszczszalaeskiej kamorry. Niestety, jakiś czas temu stał się osobistym wrogiem Tagryta. No fakt, może nie należało go oszukiwać i uwodzić jego żony... Ale przecież do niczego nie doszło... W każdym bądź razie Tagryt miał w pełni uzasadnione podejrzenia, że nigdzie już nie może czuć się bezpieczny-wszak dla domu Aczaszned pracowali najlepsi killerzy. A Oppacz znany był z tego, że obrazy nie puszczał płazem, o czym wielu przekonało się, nim wyładowało na dnie jakiegoś zbiornika wodnego z kamieniem u szyi. Lub w inny sposób zostało zlikwidowanych.

Zrezygnowany spuścił głowę, pozwalając karej szkapie iść według jej własnej zachcianki. Gdzieś wśród wzgórz coś zawyło przeciągle. W lesie trzasnęła gałąź.

Anika była wściekła. A gdy była wściekła jedyną rzeczą, jaka mogła ją uspokoić było obcięcie komuś głowy.

Dlatego też jej brat, zwany Sępem, a prywatnie Juliuszem zdecydował, że zrobią zasadzkę gdzieś na wysokości Dolnego Bladden by siostra mogła się wyżyć miast tracić energię na miotanie się po ich rodowym zameczku i niszczenie wszystkiego, co jej w ręce wpadło. Czekali więc teraz w zasadzce. Sławna szajka rodzeństwa Rayków. Postrach okolicy. Sęp z dumą popatrzył na swych kompanów. Dubiel jak zwykle pucował sztylet, Ryga dłużył w zębach. Prócz nich była jeszcze przygarnięta niedawno nastoletnia dziewczyna i dziobata kattka - mistrzyni miecza i "rzucania mięsem". Spojrzał na siostrę. Anika nuciła coś cicho, lecz silny wiatr zagłuszał słowa. Parsknął niespokojnie koń któregoś z towarzyszy. Wtem na drodze pojawił się jeździec na karej szkapie. Dziwny był jakiś. Ale Anika już go ujrzała, już skoczyła naprzód. Reszta bandy pognęła za nią. Sęp także, choć nie miał najlepszych przeczuć. Nie wiedzieć czemu, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów poczuł strach.

Nagle z lasu wypadli na drogę zbrojni jeźdźcy. Tagryt dźgnął konia piętą, wierzchowiec stanął dęba i zrzucił go. I to prawdopodobnie uratowało mu życie - w miejscu gdzie przed chwilą była jego głowa świsnął wielki kattowski miecz. Przyskoczyła do niego jakaś dziewczyna, do gardła przyłożyła mu nóż. I w tym momencie, niczym błyskawica, wyskoczył z lasu jeszcze jeden jeździec. Ciął, rozległ się wrzask, krew jakiegoś zabitego załała

Tagrytowi oczy. Dziewczyna z nożem krzyknęła, rzuciła się w bok, w stronę kattki, lecz już po chwili leżała na ziemi, spętana mocnym arkanem. Wszystko działo się tak szybko, że zbójcy nawet nie wiedzieli, kiedy umierali. Po chwili umilkły jęki konających.

Dziewczyna rzucała się w pętach szpetnie klnąc po kattowsku. Tajemniczy jeździec otarł miecz o płaszcz któregoś trupa, wyciągnął rękę do leżącego Tagryta

-To ty Tagryt, jeśli się nie mylę? Nie zmieniłeś się szczególnie.

-Aggat? Na Duchy...! W życiu bym...

-...nie rozpoznał. Zdziwiająco dużo ludzi mi to mówi. Miałem się stawić w oberży, coś, pewne zawirowania losowe mi przeszkodziły.

-Skąd wiedziałeś że ja to ja?

-Nie wiedziałem. Polowałem na tą małą - wskazał na dziewczynę- Napatoczyłeś się przypadkiem. Ale masz niewątpliwie szczęście - mówił dalej Aggat, wiążąc pojmaną rozbójniczkę ręce. Bezceremonialnie odgarnął jej włosy z zakrwawionego policzka. Centralnie w jego środku dziewczyna miała znamie w kształcie gwiazdki.

-Niska, blondynka, znamie... Zgadza się. Wsiadaj na konia, szczeniaku.

-A gdyby się nie zgadzało, ragfah gerhfhar, to co? Cholerny khahf! - krzyknęła

-Gdyby się nie zgadzało, to dołączyłabyś do swoich kamratów - wskazał na pobojowisko Aggat, wskakując na siodło - Jedziemy Tagryt.

-Fajnie, wręcz świetnie, cieszę się cholernie z tego spotkania, ale musiałeś pozarzynać tych ludzi? A w każdym razie nie musiałeś zostawiać na drodze krwawej miazgi...

-Teoretycznie nie musiałem, z tym, że tak czy siak byłaby krwawa miazga. Tyle że z ciebie. Bo ja się tam mogłem wcale nie pokazywać. Tą małą - wskazał na rozbójniczkę wciąż miotającą się wściekle i bluzgającą wiązankami najplugawszych przekleństw - znalazłbym prędzej czy później a i tak już mam kilka osób na tak zwanym "sumieniu" w tej okolicy.

-W ciągu niecałej doby? Jakaś zadyma była czy co?

-A to już zależy z jakiej popatrzysz perspektywy...

-Kto? To znaczy kogo...zabiłeś?

-Jakiś opój, dwaj strażnicy...i ta piątka. Nic wielkiego.

-No to już ósemka -wzdrygnął się Tagryt - Mają już chyba powód żeby cię zacząć ścigać.

-Dlatego właśnie opuścimy to urocze miejsce. Chociaż tych zbójów to chyba nie będą szczególnie żałować...

-A...?

-Znajda to nie najgorszy ze stworów Krainy. Krótką podróż przeżyjesz. Szczególnie, że najpierw pojedziemy do Miasta Beshynor odstawić tam tą uroczą osobkę, która całkiem niedawno miała zamiar rozplatać ci gardło.

-Po kiego licha? Nie mogłeś smarkatej zasiekać...jak tamtych?

-W Le te Beshynor czekają na nią stęsknieni rodzice... i duża nagroda pieniężna dla znalazcy.

-Aaa...Aha. To wszystko tłumaczy. Nie wiedziałem, że jesteś też łowcą głów.

-To już wiesz.

Tagryt zamilknął. Spojrzał uważnie na kłatwina, wojownika, łowcę głów... słowem przyjaciela z dzieciństwa. No może nie aż przyjaciela, ale niewątpliwie znali się dobrze. Na tyle dobrze na ile można było znać Aggata - który specjalnie kontaktowy nigdy nie był. I to się chyba nie zmieniło. Jako jedyne, bo poza tym... No choćby wygląd - z dawnego chudzielca - chłop na schwał. I oczy - przedtem jakieś takie zapatrzone, rozmarzone... a teraz zimne. Jak szklane kulki. Jechał taki wyprostowany w blasku wschodzącego księżyca i wyglądał... no nie jak żywa istota... jak posąg... golem.... Właśnie! Jak golem. Bezuczuciowy, bryła gliny po prostu... Nawet okiem nie mrugnął, jak tamtych posiekał... a nawet ta mała rozbójniczka się porzygała... Tagryta przeszedł zimny dreszcz. I był pewien, że nie

spowodowały go ani wiatr, ani znajda. Nagle odezwał się ich jeniec, o dziwo, nie klnąc tym razem jak karumski pastuch:

-Przepraszam bardzo, ale czy ja mogę na stronę? Odląć się chcę.

-Nie zawracaj głowy, mała - odrzekł Aggat, nie odwracając nawet głowy w jej kierunku

-Nie mała, tylko Rayon, to po pierwsze. A po drugie to ja muszę!

-Dobra, jak musisz... -westchnął ciężko kłatwin, jeszcze mocniej wiążąc ręce dziewczyny.

-I dobrze ci radzę- nie próbuj uciekać. Mały uroczek cię przytrzyma. Zresztą prędzej tu wilkokłaka spotkasz niż człowieka. A zapewniam, że zakończenie życia jako ich kolacja nie jest przyjemne - tu uśmiechnął się paskudnie, a Tagryt zauważył że wygląda z tym uśmiechem jeszcze straszniej.

-Po co ją straszylesz wilkokłakami? Ostatnie to tu chyba ze sto lat temu wybili. Tutaj to wymarły gatunek

-Jesteś pewien?

W tej chwili wśród wzgórz zawył jeden z egzemplarzy wymarłego gatunku, a po chwili przyłączył się do niego chór równie wymarłych pobratymców.

-Jak słyszysz nie są takie całkiem martwe. Powiedziałbym, że wręcz żywe. A ja nie chciałbym by mój zarobek został zjedzony. Rayon, wskakuj na siodło!- rozkazał rozbójnicze która wyłoniła się właśnie z krzaków.

-To mi rozwiąż ręce!

-Żebyś zwała?

-Oh, skąd wiedziałeś?!

-Powiedzmy, że się domyśliłem. Dopóki prowadzę twoją szkapę, o ręce się martwić nie musisz. I pospiesz się!

Dziewczyna, naburmuszona, wdrapała się niezgrabnie na konia. Jechali w milczeniu, tylko w lesie pohukiwał puszczyk. I nagle, gdzieś zupełnie blisko nich, rozległo się przeraźliwe wycie. Wycie bardzo głodnego wymarłego gatunku. Dużej watahy.

Rayon dźgnęła wierzchowca piętą w bok, i wepchnęła się pomiędzy Aggata a Tagryta.

-A ty tu co? -burknął ten ostatni

-Ja? Nic, zupełnie nic. Koń mi się spłoszył. Rozwiąż mnie, panie kłatwinie...

-Nie.

W tym momencie wilkokłaki zawyły jeszcze bliżej.

-Czy... czy one tu idą?- wyjąkała Rayon. Była autentycznie przestraszona.

-Czyżby pani rozbójniczka się bała? -uśmiechnął się zjadliwie Tagryt

-Akurat! Za to czuję, że ktoś tu ze strachu narobił w gacie, i nie jest to ani "pani rozbójniczka", ani kłatwin...

-Głupia smarkata!

-Tchórzliwy bubek! Apperh karrfha!

-Dajcie sobie spokój. Chyba, że jednak chcecie skończyć jako posiłek tej watahy. Swoją drogą, ładnie klniesz po kattowsku, mała. Kompanka cię nauczyła?

-Nie mów o Rhaf! I w ogóle o nich nie mów, rzeźniku! Uczciwsi byli od ciebie - warknęła Rayon,

-Gadaj lepiej co z tymi wilkokłakami? Co robimy?

-Są gdzieś za nami...? Więc... wiejemy!

-A ja? - wrzasnęła rozbójniczka -chcecie mnie tu zostawić?!?!?

-Tak! -odparł Tagryt - Jakaś kara ci się za zbójowanie należy!

-Nie zapominaj przyjacielu, że ja mam pewien interes w odstawieniu jej do Beshynor *całej i zdrowej*. Pojedziesz ze mną. A twoją szkapę tu zostawimy, przywiązaną do drzewa, opóźni trochę pościg.

Rayon popatrzyła smutno na swoją klaczkę, i wreszcie, słysząc przerażający zew, wsiadła na siodło przed Aggatem.

-Teraz mnie już rozwiążesz? -zapytała z nadzieją w głosie

-Nie ma mowy! W konie!

Pomknęli oświetlonym przez księżyc traktem, a za nimi, jak cienie, mknęły wilkokłaki. Wyjątkowo liczne jak na wymierający gatunek...

-Pisz : nie przybędę, zlecenie odwołane, posztrasz go tylko szolidnie, potem zajmiemy się resztą. Kropka.

-... Kl - opka. - wysylabizował zgarbiony człowieczek, i odłożył pióro do kałamarza.

Dyktujący, wytatuowany, otyły mężczyzna, pochylił się nad nim, czytając przez ramię pisarza

-Nie miałeś pisać " kropka", ośle! Miałeś tylko ją posztawić!-krzyknął. Mówił z silnym talszczszalaeskim akcentem.

-Jeszcze raz : zlecenie odwołane, posztrasz go tylko szolidnie... eee...potem zajmiemy się resztą. Albo... nie, szkreśl to wszystko! Nie pisz, tylko szkreśl, gryzipiórku zatracony! Napisz

- Nie przybędę, postrasz go szolidnie, a zlecenie załatw tak by cię nie podejrzewali. Koniec.

Tego nie pisz! Dobrze, pokaż... Może być. Zaniesz to Gryftowi, niech doszarczy do "Szczurzego Oka" w El Szol. I w dwa dni ma być sz powrotem!

Dopadły ich po kilku godzinach jazdy, gdy nawet Aggat uznał, że mogą się już zatrzymać. Początkowo nic nie wskazywało, że zaatakują. Owszem słyszeli dalekie wycie, ale nie spodzielali się by którykolwiek wilkokłak odważył się wkroczyć w strefę światła, jaką tworzył dokoła nich i koni, blask ogniska. A jednak, musiały być chyba naprawdę głodne, bo uczyniły to. Otoczyły ich zwartym kręgiem, pomrukując i łypiąc czerwonymi ślepiami. Było ich co najmniej dziesięć. A może i więcej, nikt jakoś nie myślał by policzyć... Wierzchowce chrapały śmiertelnie przerażone, ludzie skupili się bliżej ognia... I wtedy jeden z wilkokłaków skoczył. Aggat pierwszym lepszym urokiem osłonił konie, drugim powalił stwora. Ale już zaatakowały następne. Mężczyźni siekli mieczami, Rayon związanymi rękami chwyciła żagiew z ogniska i wywijała nią przed ślepiami bestii!

Wilkokłaki padały pod ich ciosami, lecz i obrońcy słabli... Wreszcie pozostały tylko dwa stwory, Aggat głównią miecza strzaskał jednemu z nich czaszkę, lecz wtedy drugi zacisnął szczęki na przedramieniu kłatwina. Chrupnęła kość, krew strumieniem pociekła na trawę. Rayon przyskoczyła i płonąca szczapą przejechała bestię po oczach, wilkokłak, oślepiiony, rozwarł szczękę i z przeraźliwym skowytom pobiegł w las, objając się o drzewa. Po chwili umilkł jego jazgot.

-Pokaż rękę! - rozkazała rozbójniczka - Kość cała, ale poszarpane jak astrh harfhe! Sam nie opatrzysz. Ty, Tagr - coś tam, nie stój jak głupi, podaj jaką szmatę, czy co!

Dziewczyna sprawnie zatamowała krew i unieruchomiła rękę Aggata.

-No, i skończone. Bardzo boli?

Kłatwin nie odpowiedział. Długą chwilę przyglądał się Rayon.

-Dlaczego to zrobiłaś?

-Co?

-No pomogłaś mi...? Mogłaś wiać.

-Nie wiem. Chyba przyzwyczajenie, z szajki... Pomagaliśmy sobie... Zawsze ktoś ciął od tyłu, jak inny był bezradny...-zamilkła, oczy jej jakby zwilgotniały. Otarła je szybko i zapytała:

-Słuchaj, a rozwiążesz mnie teraz?

-Chyba śnisz! Śpijcie, jutro będziemy w El Sol.

-No i nam słoneczko uciekło. Co masz zamiar teraz zrobić, wielmożny panie Aggat?-

Odpowiedź jest bardzo prosta - znajdę ją, odwożę do Beshynor i zainkasuję nagrodę.

-Chyba ci chłopie odbiło! Możesz jej tu szukać sto lat i nie znajdziesz!

-I tu się mylisz. Nie jedną taką gąskę odnalazłem i w większych miastach. W El Sol to, jak

mawiają krasnoludy, łatwo jak w wychodku.

- Co więc zamierzasz zrobić?

Aggat nie odpowiadał dłuższą chwilę. Zastanawiał się. Byli w El Sol trzy dni. Trzy dni temu piękna dotychczas pogoda zepsuła się tak, że podróż stała się niemożliwa. A dwa dni temu Rayon dała dyla, gdy nieopatrznie zostawił ją pod opieką Tagryta. Wątpliwe by miała w El Sol jakieś kontakty - dobrze znał tutejszy "światek" i wiedział, w jakiej pogardzie ma on wszelkich obcych. Tak więc dziewczyna starała się pewnie jakoś zarobić na życie na własną rękę. A że prócz kontaktów nie miała też żadnego doświadczenia w dyskretnej, kieszonkowej kradzieży, to najprawdopodobniej wpadnie, lub już zdążyła wpaść na jakimś rozboju. Należało by więc...

-Tagryt, idziemy na posterunek straży miejskiej.

-I?

-I zobaczysz sam.

Posterunek mieścił się przy rynku, w podziemiach ratusza. Był to przybytek wybitnie nie wybitny. Podobnie zresztą jak izba, w której się znaleźli, a którą strażnik nazwał dumnie "gabinetem pana komendanta".

- Cóż, jeżeli to gabinet, to chyba strachu -myślał Tagryt rozglądając się w koło. Izba była mała, oświetlała ją tylko okienko pod sufitem, przez którego brudne szybki sączyło się mętne światło. Całym wyposażeniem była wielka szafa z aktami, stół, zawalony papierami i poplamiony atramentem i tłuszczem, pulpit dla nieobecnego w tej chwili pisarza i dwa twarde fotele. Prócz tego był w "gabinecie" jeszcze zydelek, zajmowany obecnie przez Tagryta oraz półka na której dumnie prezentował się puchar przyozdobiony wstęgą " Za osiągnięcia na polu walki z występkiem "-przyznany chyba na wyrost, bo w El Sol sakiewki znikwały niczym lód w letni dzień. Puchar ten zresztą był jedną z dwóch rzeczy w całym "gabinecie" które wyglądały na zadbane. Drugą była leżąca na stole świetna kusza Rimmeringtona, model stary, ale tak doskonały, że wciąż produkowany przez genialnego wytwórcę. Broń, choć nie wyglądała na często używaną, była wypucowana na błysk. Dokoła niej, wśród papierów, leżały na stole szmatka i jakiś specyfik w buteleczce, wyglądało to jakby coś nagle oderwało właściciela broni od czyszczenia jej. Rozmyślenia Tagryta przerwał hałas na korytarzu, po czym do izby wkroczył ktoś, na kogo najlepszym określeniem byłoby "bardzo żwawy staruszek".

-Witam! Rarog jestem, komendant straży.

-Kalya Abbagaar av tu! -pozdrowił Aggat

-I z wami, panie. W jakiej sprawie waszmoście?

- Nie macie tu przypadkiem dziewczyny, kilkunastoletnia, niska blondynka, znamię w kształcie gwiazdki na policzku...?

-Przypadkiem to my tu nikogo nie trzymamy. Ale niska, blondynka, znamię? Jest tu taka, zupełnie nie przypadkiem. -mówił komendant, od niechcienia przecierając szmatką kolbę swego Rimmeringtona.

- Wczoraj zatrzymana, rozbój z użyciem broni. A na posterunku skopała strażnika.

Musieliśmy ją związać... To pana córeczka?

-Wybitnie nie.

-A to i dobrze. Jutro się ptysię powiesi i po kłopotach. A co, porządek musi być! Aggat kątem oka dojrzał kpiąco-ironiczny uśmiezek na twarzy Tagryta. Co jak co, lecz nie życzył sobie by ten, już skazany na śmierć człowiek, podkpiwał sobie z niego. Dobrze, wyciągnie małą, choćby spod szubienicy! Cholera, znów głupi odruch ambicji... No i dobrze, ma smarkata szczęście, niech potem Tagrytowi dziękuje, bo tylko przez ten jego uśmiezek postara się o jej wolność. No i jeszcze... przez ognistą szczapę którą wypaliła oczy wilkokłakowi...

-Mógłbym zamienić parę słów na osobności?

-Tak, tak... wyłapaliśmy złodziejasków z rynku, to teraz i chwila wytchnienia...Mów pan!

-Tagryt, wyjdź - nakazał Aggat, po czym zwrócił się znów do kapitana

-Czy nic się nie da zrobić?

-Co? A, z ta smarkatą? Nie, ma być pokazowa egzekucja, coś takie zarządzenia od rady, dwóch zbójów tygodniowo, co by się ludziska nie rozzuchwaliły. Bo nam przestępczość rośnie, kupcy uciekają...

-Aaa, rozumiem... A gdyby...

-Aggat, ty cudotwórca jesteś! Jak ci się to udało?- wypytywał Tagryt gdy w towarzystwie strażnika i uwolnionej Rayon przemierzali podziemia ratusza w El Sol.

-Nie żebym się jakoś tą małą przejmował, ale komendant wyglądał na takiego, co jak złapie to nie wypuści, chyba żeby na szafot!

-Ten człowiek też był kiedyś łowcą głów.

-Aha -Tagryt nie pytał więcej. Wiedział, że ludzi z tego fachu łączyła jakaś specyficzna solidarność - szczególnie, gdy jeden wycofał się już z zawodu. Taki łowca-emeryt mógł potem wiele zrobić dla kamrata - poczynając na przekazaniu tajemnic zawodowych, skończywszy na przekazaniu więźniów, za których obiecano gdzieś duże nagrody.

W milczeniu wyszli z ratusza.

-Dzięki. Dzięki, dzięki -odezwała się nagle Rayon.

-Nie ma za co, dziękuj raczej Tagrytowi.

-W życiu! Nawet za życie. Temu apperh karrfha? A swoją drogą, zjadłabym coś.

-A stawiasz? Bo ja jestem bez kasy...- Tagryt choć obrażony, węszył możliwość darmowego posiłku.

-Dobra, dobra, pójdziemy do "Szczurzego Oka", właściciel ma pewne zobowiązania wobec pewnych osób, więc się tam stołuję za darmo- wtrącił Aggat, jako że powyżej uszu miał już ich kłótni i jazgotów. Musiał przemyśleć kilka spraw. Od prawie ćwierćstulecia podróżował w towarzystwie człowieka, którego miał uleczyć i rozbójniczki którą miał odstawić na łono rodziny. Tymczasem zaledwie wczoraj dostał w "Szczurzym Oku" wiadomość, która trochę zburzyła mu plany. Trochę bardzo. Sytuacja wymagała zastanowienia.

Ale nie dane mu było się zastanowić. Przecinali właśnie rynek, gdy nagle grupka istot różnych ras ruszyła z wrzaskiem w ich kierunku.

-Tagryt, ty gnido wiarołomna!!!- Darł się obdarty lu'dź, wymachując batem.

-Znasz ich?-zapytał Aggat

-Mam tą nieprzyjemność. To wierzyciele.

-Oj, to masz dużego pecha!

-Wiem! -wrzasnął Tagryt, uchylając się przed lecącym w jego kierunku kamieniem
-Tutaj! Pożyczyłam sobie!- krzyknęła Rayon. W dłoniach trzymała wodze trzech osiodłanych koni - należących zresztą do "wierzycieli". Ich właściciele już biegli w jej kierunku. Kłątwin i "gnida wiarołomna" nie zastanawiali się długo.

Po niedługiej chwili cała trójka była już daleko za miasteczkiem El Sol.

-No tośmy zwiali - stwierdził Tagryt, wyciągając się obok ogniska, na derce, którą znalazł w sakwie przytroczonej do siodła jednego z "pożyczonych" wierzchowców.

-Tośmy zwiali- potwierdziła Rayon, przypiekając nad ogniem kielbasę zdobytą w ten sam sposób.

-Niewątpliwie. Pościgu już raczej zaniechali, więc jutro droga wolna. Wprost do Miasta.

-Do Beshynor? A potem odczepisz ode mnie tą cholerną znajdę? -ucieszył się Tagryt.

-Prawdopodobnie.

Rayon z wściekłością machnęła patykiem, wzniecając chmurę iskier.

-A ja?

-A ciebie zwiążemy, co byś nie związała Aggatowi tak blisko celu...Nie mam racji, Aggat?

Kłątwin nic nie odpowiedział.

-Milczenie przyjmuję za potwierdzenie.

Rayon uniosła nagle jasną główkę. W jej oczach pełno było gniewu.

-Czy ty zawsze robisz wszystko dla kasy kłątwinie??? A ty, Tag-cośtam? No, durniu?

-Nie jestem durniem, ty apperh karrfha! A forsa-owszem przydałaby się -odparł Tagryt.

-A ty?!-warknęła do kłątwin- No, gadaj! Gadaj hyclu!

I tym razem Aggat nie odezwał się. W milczeniu wpatrywał się w ogień. A później przemówił, cicho, dziwnym, niezwykłym u niego tonem

-Opowiem wam...pewną historię...

-Ty??? -zarówno głos jak i twarz Tagryta wyrażały bezbrzeżne zdumienie.

-Tak, ja!!! Nie masz, jak mi się wydaje, monopolu na opowieści!

-Mów! -Rayon wpiła w niego spojrzenie swych wielkich, wciąż jeszcze pełnych nienawiści ślepi.

-Był sobie pewien chłopak...-zaczął powoli kłątwin- Mniej więcej w twoim wieku, mała. Uciekł z domu, nie żeby mu tam było źle, po prostu miał poczucie misji, strasznie chciał zrobić "coś dobrego" dla świata. Dołączył do grupy młodzików, którzy tak jak on chcieli zbawić świat. Chcieli wytłuc wszelkich "złych", wszelkich bandziorów Yollyn. I nawet im się to udawało... Z tym, że ludzie nie byli im specjalnie wdzięczni. Wiadomo-lokalny zbój dodaje kolorytu. Początkowo mieli o to żal do wieśniaków, ale potem się przyzwyczaili. Dalej robili swoje, pocieszając się, że z czasem ludzie docenią. I w końcu trafili na lepszych od siebie. O wiele lepszych. Tamten chłopak przeżył tylko, dlatego, że zaraz na początku oberwał w łeb i upadł. Widział jak zbójce roznieśli na mieczach jego towarzyszy, przyjaciół... I po wszystkim pomyślał sobie, że nie da się zaszlachtować jak świnię dla jakiś ideałów. Że nie będzie jak ostatni frajer narażał życia... i tak zrobił... - Aggat urwał, ukrył twarz w dłoniach. Tagryt drzemał posapując cicho przez sen.

- A później ten chłopak stał się bezdusznym łowcą głów?-szepnęła Rayon-To twoja historia!

-Właściwie... sam już nie wiem...

- Więc... widzisz, ja wiem co ty czułeś jak oni zabili twoich przyjaciół! Ty wiesz, co ja

czułam jak zasiekałeś Rayków, Rhafr! To byli jedyni przyjaciele, jakich miałam, jedyna prawdziwa rodzina! Ci w Mieście- oni chcą tylko szmalu i zaszczytów!- patrzyła na niego poważnie, jej oczy, nawet w półmroku, były przerażająco błękitne... błękitne jak... jak oczy... oczy ostatniego człowieka, okrutnego człowieka, którego zabił zanim... zanim sam stał się jak swa ofiara, zanim porzucił ideały... Pomyślał... Nie!

-Słuchaj Rayon, słuchaj uważnie! Przez wszystko co zrobiłem dla ciebie, wszystko co ty zrobiłaś dla mnie, przysięgnij, przysięgnij że nigdy nie staniesz się taka jak ja! To najniezwyklejszy, najgorszy z możliwych żywotów! Zrozumiałaś?

Popatrzyła chwilę, zdziwiona. Powoli skinęła głową.

-Zrozumiałam... Spróbuję. - odparła - I... nie musisz mnie wiązać. Na pewno nie ucieknę. A ja zawsze dotrzymuję słowa.

Już tylko dziesięć mil dzieliło ich od Beshynor. Na horyzoncie było widać mury Miasta, rozłożonego pośrodku równiny, wśród pagórków, otulonego zakolem Wielkiej Rzeki... We wszystkie strony rozchodziły się od niego drogi - do Sirlivan, do Nadmorza, we wszystkie strony świata. Nad Miastem górowały trzy potężne bryły, trzy twierdze - Major Anthor, Paace i Thorton. To właśnie było sławne Beshynor - Miasto Magii, założone przez Lixię Odnowicielkę, Drugą Wielką Królową, panią Królestwa Dysku Yollyn, na prośbę jej przyjaciółki Julii zwanej Ontaje Harmonae, najpotężniejszej czarownicy w dziejach Krainy. Tu od wieków kształciły się rzesze czarownic i magów, tu, w Mieście Na Trzech Wzgórzach przechowywany był cudowny Klejnot Harmonii.

Rzesze ludzi zmierzały do Miasta, wszak za kilka dni miał się odbyć sławny w całej Krainie festiwal Mattare. Ale droga, którą jechali Aggat, Tagryt i Rayon była prawie że pusta. Im bliżej byli Beshynor, tym weselszy był Tagryt, podśpiewywał już nawet cicho. Rayon mroczyła coraz bardziej, zwiesiła głowę pogrążona w niewesołych myślach, Aggat zaś jak zwykle milczał. Choć może teraz nawet on milczał inaczej...?

-Wkrótce wrócę do domu... -westchnęła rozbójniczka, ukradkiem ocierając łezkę

-Cieszysz się? - wyszczerzył się do niej Tagryt

-Nie! I stul pysk, durniu!- krzyknęła, a potem znowu zamyśliła się.

Nagle Aggat uniósł głowę.

-Zjeżdżaj mała!- rzucił.

-Co???

-Zjeżdżaj, mówię ci! Do Heliopolis, do El Sol, do Beshynor, jeśli chcesz! Jesteś wolna!

-Co???

- Wolna! Jedź gdzie chcesz! - To mówiąc kłątwin płazem miecza uderzył w zad jej wierzchowca. Dziewczyna ściągnęła wodze, zawróciła.

-Dzięki! Dzięki, dzięki! - krzyknęła i pogalopowała w stronę El Sol.

-I pamiętaj!

Tagryt oniemiały patrzył na Aggata.

-Czemu? Czemu to zrobiłeś?

-A co ci do motywów *mojego* postępowania, co?- kłątwin posłał mu takie spojrzenie, że nie dopytywał się więcej. Mruknął tylko:

-I co teraz?

-Jedź za mną. Masz jeszcze znaleźć, jak mi się zdaje...?

Zagajnik Lintorowy, choć tak przez mieszkańców Beshynor zwany, był właściwie bagnistym lasem, pełnym poskręcanych drzew i nieprzebytej gąszczy krzaków. A drzewa lintor rosły tylko na jego skraju. Bo gdyby chciał nazywać zagajnik od nazwy faktycznie najliczniejszych tam roślinek to jego miano powinno brzmieć: Zagajnik Jeżynowy lub też Zagajnik Pokrzywowy. Tak więc gdy po kilkunastu minutach przedzierania się przez gęstwinę Aggat i Tagryt wydostali się wreszcie na polankę, ich twarze i ręce były całe podrapane. Miejsce, w którym się znaleźli było nie mniej ponure niż reszta lasu, no może troszkę tylko jaśniejsze...

-Po co tu przyszlismy?

-Szczere? Po nic. A raczej...nieważne. Pokaż tą znajde.

Tagryt wyjął z kieszeni pierścien. Był jakby większy. I bardziej znajdowaty.

-Silne pole energetyczne, ale połączenie nie będzie trudne do przzerwania. Usiądź, to chwile potrwa - mówił kłatwin, rysując oktegram na płaskim kamieniu, znalezionym na brzegu polany. Położył znajde na środku symbolu, usiadł naprzeciwko Tagryta.

-Zamknij oczy, i skup się całą wolą na tej znajdzie.- polecił a później złożył palce w Znak Kryste i wyszeptał formułkę. Energia zmaterializowała się w postaci mglistego obłoczka, Aggat wymówił kolejne zaklęcie, obłoczek otoczył jego dłonie i zniknął. Znajda zbladła, rozsypała się w kupkę popiołu...

-Jak się czujesz?-zapytał kłatwin, trącąc Tagryta w ramię.

-Nieco...oszołomiony.

-To przejdzie.

-I co teraz?

-Stanowczo zbyt często zadajesz to pytanie. Hmm...ktoś miał tu na nas czekać...

-Ale nie czeka...?

-Owszem, ale o tym, że go tu nie będzie już wcześniej wiedziałem.

-I..?

-Cóż, myślę, że będę musiał cię zabić...- odparł kłatwin, wyjmując nóż.

-Co? Nie mówisz poważnie!

-Jak najpoważniej.

-Serio?

-Serio serio

-Nie! Czemu!?

-Żartowałem - urwał Aggat , ale wciąż nie odkładał noża.

-Ty i te twoje żarty...-odetchnął Tagryt - Nic się nie zmieniłeś. - dodał nieszczerze.

-Dobra, a teraz poważnie - pewien człowiek, talszczszalaeszanin, bardzo poważny i wpływowy, dał na ciebie zlecenie. Podejrzewam, że nieźle mu zalazłeś za skórę. Ale tego nie dociekam.

"Oppacz Aczaszned!" - pomyślał Tagryt, a potem zapytał:

-No... to czemu mnie nie zabiłeś od razu??? No, *killerze*?

-Obiecałem ci, że pozbędę się twojej znajdy. A ja zawsze dotrzymuję słowa. A teraz...

-No już! Bij, morduj!

-Nie zabiję cię. Kłatwini nie zabijają swoich pacjentów. Spływaj mi z oczu!- odparł Aggat

-A, i daj ten świstek komendantowi w El Sol - dodał, podając drżącemu jak osiczyna na wietrze Tagrytowi zalakowany kawałek pergaminu - Bo liczę że będziesz tamtędy

przejeżdżał... - w tych słowach był nakaz, nie pytanie.

-Tak, jasne... - odparł Tagryt wskazując na konia. - I dzięki Aggat. Za życie!-wykrzyknął jeszcze, znikając wśród drzew. Kłątwin uśmiechnął się, trochę smutno, a trochę okrutnie i ironicznie, jakby wiedział coś więcej o losie jaki był Tagrytowi pisany. Bo i wiedział.

Śmierć dopadła Tagryta kilka dni później, na rynku w El Sol. Zginął przeszyty bełtem, w południe drugiego dnia wielkiego jarmarku. Dochodzenie, przeprowadzone przez starego komendanta Raroga wykazało, iż bełt ten pochodził z *kuszy Rimmaringtona* a strzał oddano ze szczytu ratuszowej wieży. Sprawcy *nie odnaleziono*.

Niedługo potem do Aggata dotarła wiadomość o treści "Załatwiłem sprawę. Wciąż możesz mówić, że zawsze dotrzymujesz słowa. Emeryt".

Wiadomość tę przyniósł dziwny posłaniec. Ubrany był w granatową pelerynę straży miejskiej El Sol, lecz gdy spał konia by zawrócić, ukazała się spod kaptura jego twarz, a na niej, centralnie na środku policzka, znamię w kształcie gwiazdki.

Kłątwin wiedział, że słowa zawarte w liście starego Raroga nie były prawdą. Raz nie dotrzymał słowa. Ale nie żałował tego. Tylko jak ona dostała się do straży miejskiej???